

Szofer

26 listopada 2015

Prawie nikt już nie używa tego wyrazu na określenie popularnego dziś zawodu kierowcy. Kiedyś jednak nikt by nie wiedział, kto to jest kierowca. No, ale j. polski ulega ciągłej metamorfozie i bardzo dobrze, że w tym przypadku znaleziono polski odpowiednik dla francuskiego – chauffeur.

W latach 1950. samochody były rzadkością. Po ulicach Ostrołęki jeździły furmanki, bryczki, czasem przemknęła karetka pogotowia, a trzeba przyznać, że w tamtych bardzo trudnych czasach, pomoc doraźna zorganizowana była wzorowo. Pamiętam pokraczne ambulanse marki Skoda, które dzielnie pokonywały błotniste, pełne wybojów drogi, aby dotrzeć do chorego. Czasem wyjeżdżała straż pożarna, przeważnie za miasto, a trzeba wiedzieć, że pożary były niezwykle groźne, bo zdarzało się, że całe drewniano – słomiane wsie szły z dymem w ciągu kilku godzin.

W sąsiedztwie mojego domu przy Pl. Bema, pojazdów było najwięcej. Bo i zajezdnia autobusowa PKS, ratusz i szpital w pobliżu. Na naszym podwórku stał traktor Ursus, który trudno było uruchomić, więc czasem bębnił pół dnia pod oknami. Stała również ciężarówka, która wydawała się nam, dzieciakom, pojazdem niezwykłym.

To był sowiecki samochód z drewnianą szoferką, w której zawsze unosił się niepowtarzalny zapach siedzeń, benzyny, smarów. Pamiętam, że często silnik nie chciał zapalić od rozrusznika i kierowca wkładał od przodu samochodu korbę, którą trzeba było energicznie kręcić, by zbuntowany motor zaskoczył. Ale taka korba służyła nie tylko do zapłonu. Bywała bardzo ważnym argumentem w rozwiązywaniu sporów odnośnie przepisów ruchu drogowego. Użycie korby powodowało zazwyczaj gwałtowne ucięcie sporu i racja należała do szofera zręczniejszego władającego wspomnianym instrumentem. I tutaj z kurpiowskim kierowcą nikłe

szanse mógł mieć jedynie góral z ciupaską, ale wówczas górale do Ostrołęki nie przyjeżdżali.

Szoferem naszej ciężarówki był pan Gęsik, lubiany w całej Ostrołęce, a przez dzieci wręcz uwielbiany. Gęsika pamiętam jako niezbyt wysokiego człowieka w fikuśnej, ażurowej czapeczce zrobionej mu przez żonę na drutach. Czapeczka zawsze rano była różnokolorowa, a już pod koniec dnia pstrokaczna nikła pod warstewką smaru. Smar szofer czerpał z części zdezelowanej ciężarówki, którą ciągle trzeba było naprawiać, a my – brzdące, przyglądaliśmy się często zmaganiom człowieka, który dokonywał cudów, by maszyna była sprawna. Zadziwiające, ile cierpliwości było w tym zawsze uśmiechniętym człowieku dla maluchów, którym zawsze wyczerpująco odpowiadał na wszystkie pytania i to w sposób na tyle zrozumiały, że ja w wieku przedszkolnym wiedziałem więcej o samochodach niż obecnie. Każda „pomoc” p. Gęsikowi w naprawie pojazdu, kończyła się kąpielą przy użyciu szczoty i praniem ubrań dokładnie wyszmelcowanych smarami. Ale mimo bury w domu, warto było trzymać z p. Gęsikiem, bo po każdej naprawie pojazdu, szofer zabierał nas do kabiny i uczestniczyliśmy w jeździe próbnej. To była frajda!

Nie ma więc co się dziwić, że marzeniem każdego chłopca było pojechać ciężarówką gdzieś daleko, mknąć po szosie 60 km/h i przez okno szoferki obserwować świat. I kiedyś spotkało mnie to niebywałe szczęście. Ojciec musiał jechać służbowo do Warszawy i coś przywieźć z dyrekcji Zarządu Dróg Wodnych do Ostrołęki. Wiedział, że sprawi synowi nieopisaną radość, więc zabrał mnie z sobą.

Trzeba wiedzieć, że p. Gęsik był człowiekiem niezwykłym. Kochał nie tylko ludzi, szczególnie dzieci, ale nade wszystko uwielbiał zwierzęta. Ponoć nigdy nie potrafił żadnego zwierzaka. Przez każdą wieś jechał powoli, aby pod koła nie wpadła mu gęś albo kura, a przed psem lub kotem gwałtownie hamował. Ba, kiedy zobaczył wałęsającego się psa, też zatrzymywał ciężarówkę. Musiał czworonoga pogłaskać, nakarmić,

dopiero gotowy był do dalszej podróży. Dlatego sam bywał często głodny, bo kanapki robione na drogę przez żonę, najczęściej zjadały szoferowi zwierzęta, z którymi p. Gęsik musiał się zaprzyjaźnić.

W drogę wyruszyliśmy bardzo wcześnie i około południa byliśmy już gdzieś między Różanem a Pułtuskim. Po drodze wszystkie psy były nakarmione, szofer nie miał już ani jednej kanapki, mógł więc zająć się sumiennie prowadzeniem ciężarówki.

W tamtych czasach ruch był tak mały, że co kilkanaście minut mijaliśmy się z innym autem. W pewnym momencie ujrzeliliśmy w oddali na szosie dwa punkty. Po minucie wiadomo było, że obok siebie, równolegle jadą dwie furmanki. Jedna poruszała się prawidłowo prawą stroną, a druga jechała lewą stroną szosy przeznaczonej dla pojazdów nadjeżdżających z przeciwnika. Na kozłach siedzieli dwaj chłopcy i dyskutowali o czymś, gestykulując jak spożywcy makaronu z dalekiej Italii. Furmanki zbliżały się. W pewnym momencie ojciec się odezwał: – Panie Gęsik, zwolnij pan, bo się między tymi furmankami nie zmieścimy!

Gęsik poprawił swoją czapeczkę i spokojnie odparł:

– Zmieścimy się panie kierowniku, zmieścimy... A na poparcie swoich słów nacisnął klakson i przeciągle zatrąbił. Woźnice rozjechali się ociupinę na boki, ale każdy uważał, żeby nie zjechać na pobocze, bo po piasku ciężko koniom ciągnąć wóz na drewnianych kołach o żelaznych obręczach.

– Hamuj pan do jasnej cholery, bo się nie zmieścimy!

– Zmieścimy się, zmieścimy...

I nagle Gęsik zaczął rzeczywiście hamować, ale nie wiele to dało. Usłyszeliśmy huk i trzask łamanych desek. Jeden z chłopków spadł z kozła do jednego rowu, drugi do rowu po przeciwnej stronie szosy. Konie z rozbitych furmanek jakoś wyzuły się z uprzęży i pognały jak oszalałe w pola, a jedno z

urwanych kół pobrzękując metalicznie żelazną obręczą, potoczyło się prosto szosą w kierunku Pułtuska.

Kiedy szofer zatrzymał ciężarówkę, obaj chłopci pozbierali się już i wstali mocno ściskając baty w łapskach. Zanim ojciec zdążył zareagować, Gęsik chwycił owe stalowe urządzenie będące częścią mechanizmu dźwigniowego, przystosowane do ruchu obrotowego dookoła osi, nazywane korbą... i wyskoczył z szoferki.

Teraz w mgnieniu oka człowiek kochający ludzi i zwierzęta stał się nieustraszonym bojownikiem i jak gladiator mający do wyboru: umrzeć lub zwyciężyć, bez namysłu przypuścił atak na chłopka, który stał bliżej.

I wtedy stała się rzecz nie do uwierzenia: chłopci mając oprócz batów w arsenale jeszcze orczyki i kłonicę, porzucili baty i rzucili się do panicznej ucieczki, gnając przez kartofliska i łąny kwitnącej koniczyzny, hen daleko, nie oglądając się za siebie.

Teraz, dojechaliśmy już szczęśliwie do Warszawy.

Później, po wielu latach analizowałem zachowanie uczestników opisanego wydarzenia. Doszedłem do wniosku, że tylko dzięki położeniu geograficznemu miejsca wypadku, udało się uniknąć większej draki. Pod Pułtuskim bowiem mieszka lud może nie dorównujący walecznością Kurpiom, ale za to mający lepszy charakter w nogach. Gdyby jednak lichy pokusiło ich, aby stawić czoła szoferowi z Kurpiowszczyzny – oj, mogłoby skończyć się gorzej. Bo jak Kurpsiovi złamać palec? Uderzyć go w nos!

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl